

Jak żyć, żeby głupio nie umrzeć?



Lidia Zamkow - Słomczyńska
w karykaturze Piotra Wollenberga.

Myszę, że i w Polsce, i w innych krajach daje się zaobserwować zjawisko, które można by nazwać *fascynacją świata*. Nigdy dotąd ludzkość nie miała możliwości wyboru tak zdecydowanie odmiennych kierunków działania: zdobywanie dalekich planet, a więc poznanie najgłębszych tajemnic naszego materialnego bytu, lub samounicestwienie dla zadośćuczynienia ideom politycznym, ekonomicznym, czy terytorialnym. Gduby nawet nikt z nas nie zastanawiał się na swój sposób i wedle swoich możliwości nad ową alternatywą — nie wyklucza to prawdy, że nasza podświadomość wychwytyuje ten podstawowy dylemat epoki. Ludzkość rzeczywiście ma się czym pasjonować.

Podałem przykład krafcowy, ale przecież fascynację dniem dzisiejszym da się uzasadnić za pomocą tysięcy innych spraw, żywo interesujących ludzi. Wystarczy Polska, a właściwie jej energiczne zmiany w dziedzinie gospodarce, obyczajowej, społecznej. Każdy dzień oferuje coś nowego, każdy dzień zaskakuje, zdumiewa. Chciałoby się znać, wiedzieć, rozumieć, właśnie każdy dzień rozumieć, żeby suma dni nie dała galimatiasu. Może więc dlatego ludzi pasjonują autentyczne zdarzenia, takie, które działy się naprawdę. Z księgarni znikają zbiory reportaży, gazety czytane są chętnie, li-

teratura pamiętnikarska cieszy się dużym popytem, film proponuje *cinema - verite*, teatr sięga po surowy dokument. Moda? Moda może być na kapelusze. Nie da się nazwać modą chęci znalezienia prawdy. Bo tak chyba — chęć znalezienia prawdy — trzeba sklasyfikować ową uwagę, z jaką zaczęliśmy obserwować autentyczne fakty. Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że prawda o współczesnym świecie zostanie znaleziona za pomocą tej metody, ani też nie sugeruję, że taką prawdę można w ogóle w całości osiągnąć. Można jednak, mając znajomość tych lub innych autentycznych zdarzeń i ich skutków, przynajmniej zbliżyć się do źródła wiedzy o sprawach dzisiejszych. Można wyrzucić sobie jakiś pogląd.

Przypomnę zdarzenie autentyczne. Jedno ze zdarzeń otomowej ery.

Claude Eatherly, major US Air Force, pilot „Enola Gay”, nieświadom tego, co nastąpi, daje w dniu 6 sierpnia 1945 sygnał „go ahead”, co można dowolnie przetłumaczyć: *bon barducje Hiroszimę!* Społeczeństwo amerykańskie rozgrzesza Eatherly'ego z winy. Rozgrzesza go świat. Eatherly rzeczywiście nie był winien. Przynajmniej w świetle norm prawnych i obiegowych norm moralnych. Być w i n n y m, a p o n o s i ć o d p o w i e d z i a l n o ś ć to wszakże dwie różne sprawy. Eatherly usiłuje tę niebagaćelną rację przekazać światu. Sumienie nakazuje mu ostrzec świat. Eatherly ma do tego prawo. On przecież otworzył wrota piekieł.

Eatherly nie chce być uśmiechniętym bohaterem (*smiling hero*). Eatherly chce odpowiadać za swój czyn. Jego ekspozycja przeszkadza wszakże tym, którzy do dziś skłonni są uważać Hiroszimę nawet nie za błąd, nawet nie za nieporozumienie, nawet nie za incydent, lecz za potrzebny, słusznie spowodowany fakt. I oto naturalny odruch sumienia zostaje uznany za chorobę psychiczną! Eatherly jest więziony w szpitalach dla umysłowo chorych, Eatherly jest osaczony pseudonaukowymi terminami, sprzedawanymi przez konformistycznych lekarzy. Jego ludzkie

reakcje próbuje się utożsamiać z obłąkaniem. Tak, jakby człowiek, za którego sprawą zginęło sto tysięcy ludzi, musiał być aż wariatem, żeby drgnęło mu sumienie. Tak jakby tylko wariatom dane było to, co zwykliśmy nazywać sumieniem. A więc w takim punkcie już jesteśmy?! Przerazające.

Myszę, że takie, a na pewno i inne uczucia oraz doznania intelektualne musiały ogarnąć wrażliwszych widzów po obejrzeniu spektaklu „No more Hiroshima” (sala Klubu MPiK w Kielcach). To swoisty był teatr, choć akurat kielczanom ten gatunek teatru (publicystyka!) nie jest obcy.

Po kolei: najpierw tworzywo. Tadeusz Malak przystosował do potrzeb sceny zbiór korespondencji Eatherly'ego z austriackim filozofem Güntherem Andersem (książka ta właśnie pt. „No more Hiroshima” ukazała się przed paroma laty nakładem „Książki i Wiedzy”). Jest to adaptacja zrobiona z dużą znajomością teatru w ogóle, a także znajomością prawideł teatru publicystycznego. Układ listów sugeruje pewną story (kolejne, coraz drastyczniejsze próby odzolenia Eatherly'ego od zdrowego społeczeństwa), która w miarę zdarzeń zagęszcza się coraz bardziej, podnosząc tym samym temperaturę dramatu. Nie jest to jednak w pełni układ fabularny, jak równie nie jest to w ogóle sztuka w tradycyjnym pojęciu. Utwór ma luźną budowę, jest celowo wątki w swoim montażu, na tyle jest tradycyjnie teatralny, żeby nie rezygnować z dobrych doświadczeń teatru (dialog, ale pozorony, prezentacja dwu różnych osobowości i jak powiedziałem, pewna ciągłość anegdotyczna). I na tyle publicystyczny, żeby określone tezy były wyłożone niemal wprost lub wprost i żeby tych też wyłożenie odbywało się nie tylko przez fabułę. Powiedziałbym — jest to konstrukcja utworu refleksyjnego.

Znany, doskonały reżyser Lidia Zamkow-Słomczyńska przydała temu tekstowi inne jeszcze walory. Zrobiła z tego spektakl ofensywny, gwałtownie atakujący naszą wrażliwość i nasz umysł. A przy

tym zgodnie z prawidłami dobrej sztuki uruchomiła naszą wyobraźnię, która musiała pracować dla stworzenia sobie pełnego obrazu sytuacji. Pierwszy z brzegu dowód: Eatherly krąży po swojej celi szpitalnej. Cztery kroki w przód, cztery kroki powrotne. Bez podpórek dekoracyjnych, bez, że tak powiem, dramatycznego chodzenia. Po prostu: cztery kroki w przód, cztery kroki powrotne. Reszta w naszej wyobraźni. Spektakl „No more Hiroshima” był raczej ekspansywnym plakatem, nie miał nic z teatralnej opowieści.

Myszę, że także zasługą reżysera, no i oczywiście aktora (Leszek Herdegen i Tadeusz Malak) było trzymanie się tej cienkiej granicy, jaką zawsze wyznacza autentyczne tworzywo. Nie za daleko w teatr, ale i nie rezygnować z pewnej teatralizacji, która przecież przydaje wartości surowemu teksowi. Ba, tekst ten dzięki takiemu zabiegowi ujawnia swój sens i swoją dramaturgię. A więc: nie granie Ande-sa, lecz próba uniwersalizowania postaci, coś jakby synteza bohatera, próba określenia jedynie jego postawy, jakby jego szkic, a nie charakterystyczność rodzajowa, która musiałaby popchnąć spektakl na mdłe o d g r u w a n i e. Leszek Herdegen i Tadeusz Malak wyraźnie więc sięgnęli tylko po takie środki aktorskie, które pozwalały im utrzymać się w idei inscenizacyjnej zaproponowanej przez Lidę Zamkow. Inszenizacja ta była, moim zdaniem, zgodna z wymogami gatunku. A więc trafna.

Wracam do wstępnych spostrzeżeń. Na scenie dwóch ludzi o wspólnych zapamiętaniach. Nie ma zdarzenia postaw, nie ma konfliktu. Podobno to dostatecznie determinuje, żebyśmy nie mieli do czynienia z ciekawym teatrem. Nieprawda! Bo na widowni jesteśmy my, widzowie, którzy pragniemy wiedzieć. Bo wreszcie konflikt jest w nas. Jest w nas konflikt ludzi XX wieku, którym dano do rozwiązania największą zagadkę: jak ludzkość ma żyć, żeby głupio nie umrzeć?

Zresztą jeśli nawet nie udzielono nam zezwolenia na rozwiązanie tej zagadki, nie oznacza to, że mamy z tego prawa zrezygnować. I to postuluje „No more Hiroshima” Lidii Zamkow, Leszka Herdegena i Tadeusza Malaka.